Nina Andrycz

ARCHIWUM

Nina Andrycz była piękną kobietą. Mądrą i wykształconą. O dużym intelekcie i wykwintnych manierach. Czy była wielką aktorką, tego nie jestem pewien. Ale na pewno wielką i niepowtarzalną osobowością.

Już przed wojną dużo się o niej mówiło. Zachwycało się jej nieprzeciętną urodą. W roku 1936, mając szesnaście lat, zobaczyłem ją po raz pierwszy na scenie Teatru Polskiego w Warszawie. Grała Antonię w „Tessie" Margaret Kennedy w adaptacji Jeana Giraudoux w reżyserii Aleksandra Węgierki obok Elżbiety Barszczewskiej w roli tytułowej i Stanisławy Stępniównej w roli Pauliny. Trzy pełne uroku młode utalentowane aktorki należały wówczas do czołówki młodzieżowej tego teatru. Robiły karierę. Potem widziałem ją jeszcze jako Solange w „Lecie w Nohant" Jarosława Iwaszkiewicza w reżyserii Zbigniewa Ziembińskiego z Marią Przybyłko-Potocką w roli George Sand i Zbigniewem Ziembińskim w roli Chopina. A na krótko przed wybuchem wojny jeszcze w „Koleżankach" Stefana Krzywoszewskiego. Trudno było oderwać od niej wzrok. Była tak piękna i niepokojąca, że wszystko inne było nieważne. Już wtedy usiłowała rywalizować z Ireną Eichlerówną, którą uważano za jedną z najwybitniejszych młodych aktorek.

Ninę Andrycz poznałem na przełomie 1945 i 1946 roku. Stawiałem wówczas pierwsze kroki na scenie. Dyrektor Arnold Szyfman, kompletując zespół aktorski Teatru Polskiego, zaproponował mi engagement. Nina Andrycz, przedwojenna aktorka Szyfmana, była też w tym zespole. Mieszkała z matką na Pradze, w Domu Aktora przy ul. Wileńskiej 13. Razem z innymi wybitnymi aktorami, którym Szyfman zapewnił lokum w tym domu otrzymanym od władz miasta dla pracowników teatru. Większość zaangażowanych aktorów wszystko straciła w czasie działań wojennych w lewobrzeżnej Warszawie.

Miasto spalone, które właściwie nie istniało, wyglądało rozpaczliwie. Ruiny i zgliszcza. Tylko ocalały częściowo Teatr Polski po remoncie wyglądał imponująco. W „Lilli Wenedzie" Juliusza Słowackiego z Elżbietą Barszczewską w roli tytułowej i reżyserii Juliusza Osterwy Nina Andrycz nie brała udziału. Inauguracja i otwarcie Państwowego Teatru Polskiego odbyły się 17 stycznia 1946 roku. Zagrała dopiero w kolejnej sztuce, „Papudze" Korcellego w reżyserii Juliusza Osterwy.

Byłem z nią wtedy w bliskich kontaktach. Miła i koleżeńska, opowiadała mi o swoim powodzeniu u mężczyzn i kolegach, którzy się w niej kochali. Między innym o Mieczysławie Borowym i Aleksandrze Węgierce. Bywała kilkakrotnie u mnie w domu na Starościńskiej, na spotkaniach towarzyskich i z okazji imienin.

Dopiero kiedy została żoną premiera Józefa Cyrankiewicza i stała się Królową Polski Ludowej, jak ją nazywano, zmieniła się nie do poznania. Z dystansem odnosiła się do otoczenia. Nawet z kolegami, z którymi była po imieniu, dzielił ją mur. Wyniosła jak królowa, uwielbiała adoracje. Jej nieliczne przyjaźnie z koleżankami trwały krótko. Najdłużej z Barbarą Kościeszanką, wielką damą, przemiłą osobą i świetną aktorką.

Całe życie spędziła w Teatrze Polskim. Nie mieszała się do polityki. Grała, co chciała. Teatr był do jej dyspozycji. Uniemożliwiła powrót do Teatru Polskiego Irenie Eichlerównie, która wróciła z Brazylii do Polski za namową dyrektora Arnolda Szyfmana. Pozbyła się też Danuty Urbanowicz, młodej pięknej aktorki, którą rzekomo interesował się jej mąż - premier Józef Cyrankiewicz.

Widziałem ją we wszystkich powojennych rolach. A było ich mnóstwo. Grała wielkie damy i królowe. Zawsze piękna, elegancka i znakomicie ubrana. Niczego jej w życiu nie brakowało. Żyła w luksusie. Była osobą chłodną. Konsekwentnie kierowała swoim życiem, budując legendę. W jej życiorysie pełno jest konfabulacji.

Nigdy nie grałem z nią na scenie. Ale spotkaliśmy się jeden jedyny raz w studiu Polskiego Radia na Myśliwieckiej. Zaprosił nas wielki Jerzy Leszczyński, przygotowując wersję radiową „Poskromienia złośnicy" Szekspira. Nina Andrycz użyczyła głosu głównej bohaterce - Katarzynie, Elżbieta Barszczewska - Biance, Jerzy Leszczyński był Petruccim, a ja jego sługą Biondellem. Elżunia Barszczewska przy Andryczównie wyglądała jak szara myszka. Wszyscy przy niej wyglądaliśmy jak wasale. Choć nie płaszczyliśmy się przed nią.

Nigdy nie byłem entuzjastą jej aktorstwa. Nie przemawiało do mnie. Patrzyłem na nią jak na piękną, elegancką i zadbaną kobietę. Zarówno Irena Eichlerówna, jak i Nina Andrycz jako aktorki przyjęły pewną manieryczność w sposobie grania.

Z jej przedwojennych ról najbardziej podobała mi się Solange w „Lecie w Nohant". A po wojnie Stara, którą kazała zmienić na Oną w „Krzesłach" Ionesco z Ignacym Gogolewskim w roli Onego w reżyserii Macieja Prusa.

Jedno jest pewne, że w historii polskiego teatru na zawsze pozostanie legendą.

Odeszła 31 stycznia 2014 roku. Niech spoczywa w spokoju. ●

WITOLD SADOWY